

Odcienie akademickich hierarchii

Przed laty słynny francuski psychoanalityk Jacques Lacan stwierdził, że studenci, którzy uczestniczyli w masowych protestach Maja '68, pragnąc obalić aktualny porządek, tak naprawdę marzyli po prostu o posłuszeństwie wobec nowego, jeszcze nie zmaterializowanego mistrza. Ta kontrowersyjna wypowiedź rozsierdziła francuskie środowisko młodej, zbuntowanej akademii. Kampusowi rebelianci wychowani na Godardzie, Genecie i Mao Zedongu prawdopodobnie nie mogli zaakceptować (swoją drogą dość przewidywalnej) tezy wybitnego postfreudysty, mówiącej o tym, że każda anarchia to w gruncie rzeczy efekt uboczny wypartej do zakamarków podświadomości żądzy hierarchii. Być może nawet dziś niełatwo jest wskazać ostatecznego zwycięzcę tego gorącego sporu. Jedno jest natomiast pewne – problem hierarchiczności wciąż definiuje uniwersytecką rzeczywistość. Kto wie, czy nie wyraziściej niż za życia Lacana i jego zażartych adwersarzy

Wspomniany przykład Lacanowski prowadzi nas do pierwszego hierarchicznego modelu – relacji pomiędzy studentem a wykładowcą, która często skutkuje poważnym zahamowaniem edukacyjnej pasji ich obu. Pierwszy z uniwersyteckich podmiotów, poświęcając całą swoją energię

na zaadaptowanie się do narzuconej interpersonalnej konwencji, nie ma już w sobie choćby namiastki mocy potrzebnej do samego studiowania – krytycznego czytania programowych tekstów, podejmowania polemiki, kontemplacji kulturowych oraz społeczno-politycznych

kontekstów, w jakie wpisują się materiały odkrywane na zajęciach. Zanim student w ogóle dojdzie do meritum wypowiedzi ustnej lub pisemnej, odbywa wewnętrzną potyczkę dotyczącą odpowiednio dobranych werbalnych i niewerbalnych wyrazów uległej uprzejmości, tj. poprawnie wypowiedzianego tytułu naukowego wykładowcy, odpowiedniej powagi wszczętego dyskursu mowy naukowej oraz mowy ciała, dobrze wyważonej temperatury opinii, która sprawia wrażenie autentycznej, ale jednocześnie nie antagonizuje profesorskiego zdania.

Z kolei profesorska, dominująca strona tej relacji spala swój akademicki wigor w nieustannym, obsesyjnym nadzorowaniu i ocenianiu panującej na sali atmosfery szacunku. Wykładowca występuje w roli egzaminatora poczucia dobrego smaku. Wsłuchuje się uważnie w ton studenckiego poszanowania naukowego tytułu, dba o to, by wypowiedzi padające z drugiej strony biurka nie umniejszyły jego autorytetu. W razie potrzeby ukróca próby deprecjonowania powagi zajęć miną bądź bon motem (lub bon motem z miną) mędrca.

Drugi istotny model hierarchiczny odnajdujemy w relacji pomiędzy pracownikami akademickimi, która także angażuje spore pokłady emocjonalnych oraz intelektualnych, lecz niekoniecznie naukowo produktywnych sił. W tym kontekście uniwersytet staje się przede wszystkim polem walki o kapitał symboliczny. Owszem, poszczególne pozycje uniwersyteckie różnią się od siebie stopniem zysku ekonomicznego, natomiast wydaje się, że to nie on jest najważniejszy w starciach podmio-

tów ubiegających się o prestiż z tymi podmiotami, które ów prestiż zdążyły już osiągnąć.

Walka ta odbywa się na wielu frontach jednocześnie. Wśród wykładowców tego samego szczebla dążących do jednokowej promocji, wykładowców stopnia niższego oraz wyższego, z których ci pierwsi mają prawo zaimponować tym drugim, zanim ci drudzy pozwolą im wreszcie dotrzymać im kroku, a także u mniej lub bardziej zbieżnych poziomem kapitału symbolicznego reprezentantów rozbieżnych interesów (różnych wydziałów, różnych zakładów, różnych kierunków).

Ten ostatni front zdaje się najciekawszy, ponieważ najbardziej obrazowo ukazuje sprzeczność, która zarysowała się nam już w przykładzie hierarchiczności relacji student – wykładowca. Jedną z fundamentalnych idei uniwersyteckich, swoistą misją nowoczesnej akademii jest przecież napędzana duchem interdyscyplinarności, międzywydziałowa kooperatywność. Rzeczywiście, oblicze dzisiejszego uniwersytetu w dużej mierze kształtuje mnogość wspólnych projektów. Przedsięwzięć, które dzięki współdziałaniu pracowników akademickich stwarzają szansę na zaistnienie dyskursu radykalnie demokratycznego, takiego, który wykorzystuje akademicką maszynę językową do stymulowania nieoczywistych przepływów i przecięć, powolnego, aczkolwiek skutecznego legitymizowania coraz intensywniejszych uniwersyteckich polifonii.

Szkopuł jednak w tym, że kolektywny entuzjazm stojący za tego typu współpracami nie rzadko gaśnie, gdy ma dojść

do kreatywnej fuzji rzeczywiście odmiennych interesów.

Demokratyzacja dyskursu międzywydziałowego postępuje dość żwawo, jeśli jest ujęta w mimo wszystko dość bezpieczną klamrę „egzotycznej swojskości” (naukę społeczną stać na kooperację z filologią, ekonomię na duet z prawem, filozofię na tango z literaturoznawstwem). Natomiast na analogiczny kolektywistyczny gest jest miejsce znacznie rzadziej w przypadku kompletnie nieprzystających do siebie jednostek (niezbyt często mamy okazję obserwować efekty wspólnej pracy np. literaturoznawców z ekonomistami).

Jest to wynik akademickiej hierarchii prestiżu – ekstremalny dystans, który dzieli konkretne wydziały, działy i zakłady, sprawia, że wizja współpracy pomiędzy nimi staje się nieatrakcyjna. Ponieważ nie grają o wspólną, czy choćby odrobinę zbliżoną stawkę, ich drogi prawie nigdy się nie spotykają. Oczywiście traci na tym czysto naukowa wydolność uniwersytetu, lecz nie ma to żadnego wpływu na jego gospodarkę kapitałów symbolicznych.

Powracając jeszcze raz do Lacana, warto zadać sobie kluczowe pytania: Kim są ci mistrzowie? Czy to prawdziwie inspirujący intelektualni mentorzy, przewodnicy po niuansach uniwersyteckich misji? A może uprzywilejowani reżyserzy panujących narracji, którzy wręczają odpowiednie odznaki odpowiednim osobom?

Oto pytania bez odpowiedzi, które każdy student oraz pracownik akademicki powinien regularnie sobie zadawać.

Łukasz Krajnik